



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;**
otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej z rana do 7-ej z wieczora.

Prenumerata kwartalna w Warszawie **1 rb.**, z przes. poczt. **1 rb. 25 kop.**

Nr. 40.

Warszawa, d. 1 Października (18 Września) 1904 r.

Rok III.

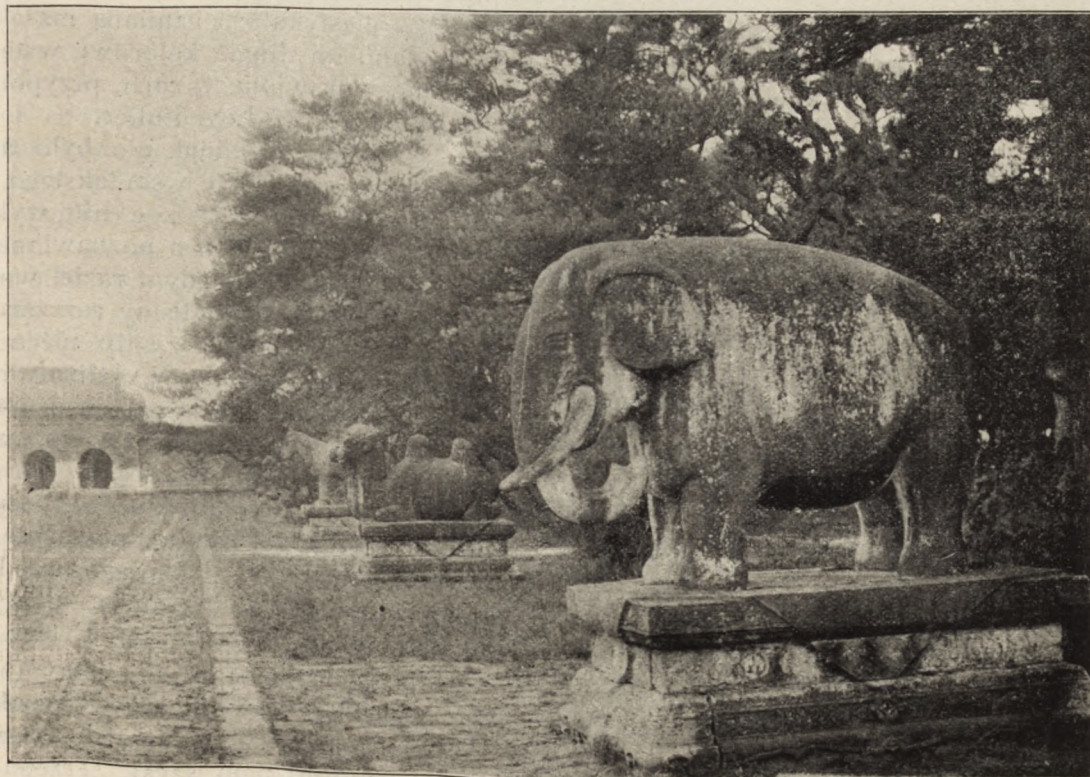
JOZEF GIEYSZTOR.

Na Dalekim Wschodzie.

(Ciąg dalszy.)

Jakoż, około godziny 10-ej wieczorem, wyruszyliśmy z hotelu. U wyjścia stał szereg riksz z białymi, jajowatymi latarkami przy

holobelkach, przy świetle których woźnice czytali gazety. W mgnieniu oka kilkanaście holobelok złożonych zostało w półkole pod



„Aleja zwierząt” na mogiłach cesarskich w Mukdenie.

nasze stopy. Wybrańcy wprzęgli się natychmiast i ruszyli z miejsca, rozpędzając mniej szczęśliwych kolegów.

Ulice były już puste. Wybrzeże oświetlały lampy elektryczne, ale wewnątrz miasto było ciemne: rzadkie latarnie na zbiegu ulic zaledwie dawały możliwość orjentowania się w labiryncie ulic i uliczek. W mroku tym, jak robaczki świętojańskie, migwały latarenki riksza i rzadkich przechodniów, których klapanie sandałami rozlegało się w ciszy daleko. Po półgodzinnej jeździe zatrzymaliśmy się przed jakimś domem.

— „Tu” — objaśnił przewodnik. Wsiedliśmy i przez dziedzińczyk, zamieniony w ogródek, wyłożony płytami piaskowca, z małym basenem wody po środku, weszliśmy do przedpokoju. Tu musieliśmy zdjąć obuwie, gdyż zwyczajem japońskim, w mieszkaniu, zarówno jak w świątyni, nie wypada chodzić w obuwiu. W skarpetkach tedy przeszliśmy za przewodnikiem do dużej sali, oświetlonej lampkami elektrycznymi, ale zupełnie pustej, z matami na podłodze i ścianami papierowymi.

W ślad za nami weszło kilka kobiet, w tej liczbie jedna z dzieckiem, w ciemnych kirimonach, o pospolitych twarzach. Najstarszej z nich, przewodnik, któremu pozostawiliśmy swobodę działania, dał zamówienia:

„Cztery gejsze, dwie tancerki i dwie muzykantki”.

Stara wyszła, a reszta zakrzątnęła się koło przyjęcia. Przyniesiono więc mosiężną fajerkę, napełnioną węglami dla ogrzania pokoju, kilka płaskich poduszek do siedzenia, herbatę w małych filiżankach ze słodkim ciastem i owoce.

Nagle uszu naszych doszła muzyka i śpiew. Muzyka nieharmonijna, zagłuszana przez odgłos bębna, i śpiew choralny, niezgodny, raczej *recitativo* z wykrzykiwaniami. To śpiewały gejsze w sąsiednim lokalu.

Czekaliśmy długo. Okazało się, że gejsze miejscowe były już zaangażowane i ich to właśnie produkcje słyszeliśmy; posłano więc po inne. Aby się nam jednak zbyt nie nudziło, gospodyni, korzystając z przerwy w przedstawieniu, przysłała jedną z gejsz, śpiewających w innej sali.

We drzwiach ukazała się młoda dziewczyna lat 13, o ładnej twarzy, ubrana w jedwabie, z niesłychanym węzłem „obi”. Dziewczyna ta ukłękła; głową dotknęła podłogi i, podniósłszy się lekko, sięgnęła na ziemi przed nami. Ponieważ myśmy przypatrywali się jej, nie mówiąc, przeto gejsza zwróciła się z rozmową do siedzących obok

kobiet. Mówiła coś prędko, obracając się z wdziękiem i przerywając mowę śmiechem. Nic nie rozumiejąc, naturalnie, mieliśmy z kolegą sposobność zauważenia tylko, że język japoński jest dźwięczny, zwłaszcza jeżeli posługuje się nim taka zgrabna osóbką.

Tymczasem w przedpokoju rozległo się klapanie sandałów i jednocześnie do sali weszły cztery gejsze. Głęboki pokłon z przyklękaniem i czołobitnością i nowoprzybyte zasiadają przed nami.

— „Ależ to są dzieci!” — woła B.

Istotnie, żadna z przybyłych gejsz nie miała więcej nad 10—11 lat. Były to, tak zwane, „majko-gejsze”, t. j. dziewczęta, kształcące się dopiero w artystycznym zawodzie gejsz.

Ubrane wyszukanie, z wysoko zaczesanymi włosami, starały się one widocznie naśladować starsze swe siostrzyce, były przeto niezupełnie swobodne i naturalne. Dwie z nich miały instrumenty muzyczne w ręku — rodzaj mandoliny i podwójny bębenek.

Wkrótce też rozpoczęło się przedstawienie. Przy odgłosie muzyki, pozbawionej zupełnie harmonji i takim samym śpiewie, dwie gejsze stanęły do tańca. Właściwie nie był to taniec, raczej przedstawienie sceniczne. Gejsze chodziły z podchyłonymi kolanami, przechylały się, obracały wolno, robiły jakieś ruchy rękami, czasami przyśpiewywały. Następnie obie włożyły maski i rozpoczęły śpiewny dialog z giestykulacją i zmianą masek. W końcu podano im długie kolorowe wstęgi, które, zręcznie wprawione w ruch, przypominały taniec „serpentine” Loyi Fuller.

Wszystko to jednak nie było ani ładne, ani harmonijne, może wskutek tego, że artystkami były dzieci, jeszcze nie wykwalifikowane w swoim fachu, a pozbawione naturalnego wdzięku. W każdym razie, wobec wielkich oczekiwań, doznaliśmy rozczarowania.

Po tańcach gejsze zjadły nieco owoców, pożegnały się i wyszły. Wyszliśmy i my, i widzieliśmy, jak na każdą z tych dziewcząt czekała służąca z latarką i okryciem, mająca odprowadzić artystkę do domu. Bo gejsze — to zawód artystyczny, do którego przygotowują się od dzieciństwa, traktują poważnie, narówni ze sztuką sceniczną, i którego przedstawicielki nie mogą być żadną miarą identyfikowane z zawodowcami służebnicami Cytery.

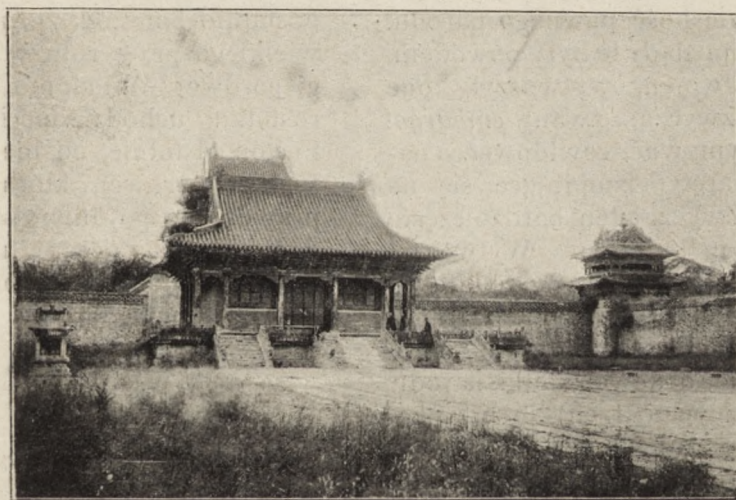
Na dzień następny mieliśmy uplanowaną wycieczkę koleją w okolice Nagasaki, do jednego z pobliskich zdrojowisk. Deszcz jednak od rana popsuł nam szyki. Trzeba się było zadowolić włóczęgą po sklepach i robieniu zakupów osobliwości japońskich. A było tego

tak dużo i tyle ładnych rzeczy, że należało zebrać całą siłę woli, by się powstrzymać od zakupu masy niepotrzebnych drobiazgów, któreby przy przewozie przez granicę mogły jednak przysporzyć mnóstwa wydatków i kłopotu, jako obciążone wysokim cłem wschodowym.

Pomiędzy „tiffin” — drugim śniadaniem, a obiadem, pojechaliśmy z B do agencji żeglugi parowej kolei Wschodnio-Chińskiej, dla zamówienia sobie miejsc na najbliższym parowcu, odchodzącym do Dalniego.

Okazało się, że statek „Amur” odchodzi nazajutrz, następny zaś dopiero za tydzień. Ponieważ czas naglił, postanowiliśmy jechać nazajutrz, zmuszeni wyrzec się przyjemności dłuższego pobytu w sympatycznej krainie „Wschodzącego słońca”.

Udaliśmy się też niezwłocznie „sampa-nem” na statek, celem zapewnienia sobie kajuty. Na „Amur” właśnie ładowano węgle. Otaczały go wkolo szerokie łodzie, węglarki, a na nich, jak również na spuszczonej trapie, stały szeregiem kobiety-japonki w białych,



Groby cesarskie w Mukdenie.

czystych chustkach na głowie i ładowały węgiel. Ruchem zgodnym, mechanicznym, dziesiątki rąk zwracały się w lewo, odbierały koszyk z węglem, podawały go wyżej, sięgały po następny, a przez otwór w statku węgle zsypanywane płynęły jak woda, nie przerywając strugi na chwilę. W łódkę padały z góry puste koszyki, które młoda dziewczyna dzieliła pomiędzy kilku mężczyzn, napełniających je węglami, i w ciągu półgodziny, podczas której obserwowałem ładowanie, nie było chwili, iżby robota się wstrzymała skutkiem braku lub innej niedokładności.

Sprawność w robocie i umiejętność organizacji jej u japończyków zastanawiała mnie wielokrotnie i dawała się zauważyć również w biurach, np. na poczcie, gdzie zajęte są prawie wyłącznie kobiety. Ekspedycja listów lub posyłek odbywa się z szybkością, do której nie przyzwyczaiły nas nasze urzędy pocztowe.

Na „Amurze” spotkaliśmy znajomego, agenta żeglugi z Szanhaju, p. W. i w towarzystwie jego oraz kapitana, spędziliśmy mile parę godzin, uzupełniając swoje przelotne wrażenia z widzianego kawałka Japonji długoletnimi obserwacjami obu panów, tym pełniejszemi, iż rodzina kapitana mieszka stale w Nagasaki.

Nazajutrz w południe opuściliśmy nie bez żalu piękną Japonję. W miarę obrotu śruby naszego statku, odsuwała się coraz to zwiężając się, zatoka Nagasaki, aż wreszcie zasłoniła ją nam zupełnie skalista wyspa, których kilka broni wejścia do portu. Stałem długo na pokładzie, przeprowadzając wzrokiem nikiący z oczu ład, który bodaj czy się uda jeszcze kiedy w życiu zobaczyć.

(C d. n.)



Rys historyczny rozwoju sztuki żeglarskiej.

napisał

MARJUSZ ZARUSKI,

szturman marynarki handlowej.

(Ciąg dalszy.)

Ogromną przeszkodą w rozwoju stosunków handlowych i samego żeglarstwa były panujące naówczas pojęcia o morzu, jako terytorjum zamkniętym (*mare clausum*), stanowiącym, zarówno jak ziemia, własność pewnego narodu. Pominąwszy już, że poglądy te były powodem, częstych zatargów i wojen, wytworzyły one istną plagę żeglugi—zwyczaj, zwany *embargo*, który pozwalał zatrzymywać, rewidować, a nawet konfiskować okręty, znajdujące się na „cudzych” wodach. Zwyczaj ten bardzo często stawał się zwyczajnym rozbojem. Wytworzył on nawet osobną klasę korsarzy najemnych, w rodzaju włoskich kondotjerów, którzy łupili w czasie wojny statki nieprzyjacielskie, i również często neutralne, a nawet statki narodu, któremu służyli. Nazywano tych korsarzy kaprami albo flibustjerami. Jeden z kaprów angielskich, Drak (Drake), dalekimi podróżami swemi przyczynił się nawet bardzo do rozwoju marynarki i otrzymał za to od królowej Elżbiety godność szlachecką. U nas, za Zygmunta Augusta, wstawili się dwaj kaprowie: Wąsowicz i Spiring (inaczej Sierping vel Sierpinek), którzy z ramienia króla pełnili służbę kaperską na morzu Bałtyckim, a pełnili ją tak gorliwie, iż w niedługim czasie stali się powodem głośnego „buntu Gdańska”.

W XVIII wieku, dzięki pracom całego szeregu uczonych i praktyków, jak: Mungo-Murray, Boswel, G. Dewi, Snodgras, Bentam, Senings i inni, żeglarstwo uczyniło wielkie postępy. Zwiększono rozmiary okrętów, na dnie statków zrobiono kanały (*limberburty*) dla ścieku wody; deski, przeznaczone na futrówkę, zaczęto gotować w wodzie lub parze, ulepszone sposoby wentylacji podpokładów, wprowadzono przekątne wiązania szpangontów, zmieniono kształt rufy z prostokątnego na okrągły, a następnie (w r. 1819) na eliptyczny, wzmocniono kadłub bocznymi kilsonami i wielu innymi ulepszeniami, w daleko większym niż do tego czasu stopniu przystosowano okręt do dalekiej żeglugi. Długość statków dochodzi do 210 stóp, jakkolwiek stosunek szerokości do długości pozostaje prawie ten sam i nie prze-

wyższa 385. Fig. 101 przedstawia fregatę z w. XVIII-go.

Bez względu jednak na liczne braki budownictwo okrętowe w ciągu XVIII w. o tyle postąpiło naprzód, że przygotowało grunt do wielkiego przewrotu w żeglarstwie—do żeglugi parowej. Wiadomo, że za wynalazcę parostatku uchodzi mechanik amerykański—Fulton. Istotnie, od niego datuje się początek żeglugi parowej, która niezmiernie szybko, prawdziwie po amerykańsku, objęła w posiadanie morza i oceany, nie on jednak pierwszy wpadł na pomysł zastosowania prężności pary do poruszania okrętu.

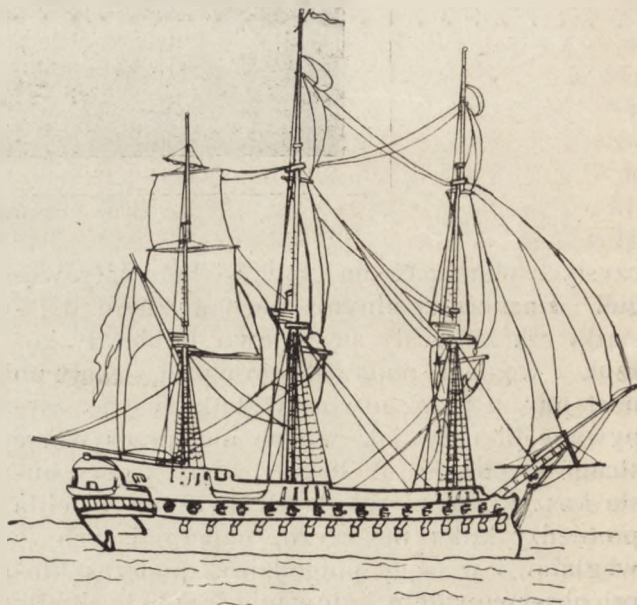


Fig. 101.

Zdaje się, że za rzeczywistego wynalazcę parowego statku i w ogóle maszyny parowej uważać należy niejakiego Blasko-de-Garaja, kapitana floty hiszpańskiej, który w roku 1543 zbudował pierwszy statek, poruszany siłą pary. W archiwum królewskim miasta Salamanki przechowały się do dziś dokumenty, świadczące o wynalazku Garaja. Nieznane są szczegóły maszyny jego, wiadomo natomiast, iż z rozkazu Karola V-go wypróbowano wynalazek Garaja na statku „Trinidad” w porcie

Barcelony (w 1513 r.) i że wynik był świetny: „Trinidad” poruszał się z szybkością dwa razy większą od szybkości ówczesnych galer. Wiadomo też i to, że motorem była tu para.

Pomysł Blasko-de-Garaja poszedł jednak w zapomnienie i dopiero w wieku XVIII powrócono znów do prób w tym kierunku. Jonathan Hull (r. 1736), Berkulej, Miller, Ejler, Simington, Dundas, Franklin, Ficz, Ramsej, wreszcie Liwingston—oto imiona ludzi, którzy pracowali nad zastąpieniem siły wiatru innym motorem — najczęściej prężnością pary. Hull i Liwingston mieli nawet patenty na wynalezienie przez nich maszyny parowe, a Miller wraz z mechanikiem Simingtonem, robiąc próby na jeziorze Demwingtońskim, osiągnęli dla swego jachtu znaczną nawet szybkość—7 węzłów. Działo się to w roku 1789. Jak widzimy, nie brak było pomyslnych rezultatów i przed Fultonem. Nie miały one jednak praktycznego znaczenia. Dopiero wynalazek Ful-tona zwrócił uwagę świata na doniosłość zastosowania pary do żeglugi i od tego czasu zaczyna się stały rozwój żeglugi parowej, trwającej do dnia naszych. Pierwsze próby Ful-tona skończyły się niepowodzeniem: parostatek, zbudowany przez niego na Sekwanie w r. 1803, od ciężaru własnej maszyny złamał się po połowie i zatonął. Powróciwszy do Ameryki, Ful-ton w r. 1807 zbudował na rzece Hudson drugi statek parowy, który szczęśliwie przepłynął od Nowego Jorku do Albani, robiąc po $5\frac{1}{8}$ mili na godzinę. Godnym zaznaczenia jest to, że ten pierwszy parostatek, „Klermont” pod względem stosunku długości do szerokości podobny był do statków dzisiejszych. Długość jego mianowicie była 9,33 razy większa od

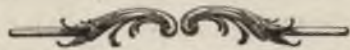
szerokości. Później Fulton stosunek ten zmniejszył na niekorzyść swych statków. Trzeci już parowiec, zbudowany przez niego, miał długość 7,44 razy większą od szerokości. Naśladowcy Ful-tona doszli nawet do 3,84 t. j. do stosunku ówczesnych statków żaglowych.

Ciekawe jest i to, że pierwsze statki parowe—oczywiście kołowe, bo o śrubie wtedy jeszcze nie miano pojęcia—miały koła nie po środku, jak to widzimy na kołowcach dzisiejszych, lecz w przedniej części. Mogły rozwinąć szybkość najwyżej 7 węzłów.

Pierwszym statkiem parowo - żaglowym, który przepłynął ocean był „Sawanna”, spuszczonej na wodę w roku 1818.

Tak zostały położone podwaliny żeglugi parowej. Budowano większe i mniejsze statki, wyłącznie kołowe — i ulepszając stopniowo, osiągnięto pokaźne rezultaty. Szczególnie zasłużył się na tym polu inżynier amerykański Stiwens. Zbudowany przez niego około r. 1830 statek parowy „Nort-Ameryka” szybkością biegu przewyższył wszystkie inne—robił bowiem 16 mil na godzinę: jest to szybkość wielka, nawet na dzisiejsze czasy. Największym ówczesnym statkiem parowym był „Swallow” długość jego wynosiła 232,8 stóp, szerokość 22,5. Stosunek długości do szerokości, jak widzimy, znów tutaj większy, równy mniej więcej stosunkowi parostatków współczesnych. W kilka lat później zachodnio-indyjska kompanja zbudowała jeszcze większy parostatek „Gret-Western” (236 stóp długości), który, wraz z drugim parostatkem tejże kompanji, „Siriusem”, otworzył w r. 1838-ym regularną komunikację parową pomiędzy Europą i Ameryką.

(C. d. n.)



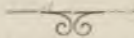
PIOTR LOTI.



I N D J E.



w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.



(Ciąg dalszy.)

Pertyki bardzo białe, wznoszące się czarodziejstwem głazu dierzganego, tworzą wejście do olbrzymiej dzielnicy królewskiej: są tam pałace przezystej białości śnieżnej, otoczone ogrodami białych róż, pośród wielkich drzew omdlewających, które w kwietniu mają barwy późnej je-

sieni; są to parki osamotnione, schnące z dnia na dzień, a król tu nad tym nie mocen; są to małe jeziora, dziś już wyschłe, z altanami u brzegów, cudownie rzeźbionymi, gdzie dwór zażywał wywczasu, gdy były deszcze, woda i gęstwina liściasta.

W alejach, które mają wygląd jesienny, a gdzie skrajami, dzięki trudom usilnym; kwitną jeszcze róże, przechadzają się prawie i mały żalozne, które sprawiają wrażenie, jakby niepokoiły się tym ziemi wyczerpaniem, tą idącą za głądą.

Król Gwalioru w tej chwili udał się na wierzchołek sąsiedniej skały, by umknąć febrze która go zjada. Jestem atoli upoważniony przez niego do wejścia—i drzwi się otwierają.

Salę umeblowaną po europejsku: złocenia, sute zwierciadła, złotogłów: rzekłbyś, że jesteś w pałacu Burbońskim lub w Elizeum. Atoli pośród tego przepychu mdłego komnat czujesz wszelako tu Indje — tam, po za temi ścianami, pokrytymi jedwabiem; czujesz smutek tych parków, w czas wiosny ogolonych z liści i trwożę tego kraju, co cierpi. Co do młodego jego mości, który mnie tu wprowadził i który towarzyszy mi z wytwornością łaskawą, jest to osobistość wprost czarodziejska: cały w białej szacie, z lekkim okryciem głowy z jedwabiu różowego; w uszach perły, na szyi dwa rzędy wielkich szmaragdów. Z lica przypomina owych książąt bajecznie pięknych, których rysy odtwarzają stare minjatury indyjskie czy perskie; oczy, i tak już nadto duże, przedł żone jeszcze malowaniem, nos nadto wytworny, nadto starannie wymuskany czarny wąs i nadto wiele różu na policzkach, tworzącego plamę czerwoną pod ambrawą przejrzystą skóry.

Pałace pogrzebowe dawnych królów Gwalioru zajmują z drugiej strony miasta całą dzielnicę milczącą. Są to pośród ogrodów świątynie z kamienia i z marmuru, których gromady tworzą jakby olbrzymie cyprysy, olbrzymie cisy cementarne.

Ze wszystkich tych mauzoleów, wznoszących ku niebu swe wieże kończaste, najwystawniejszym jest ten, w którym spoczywa od niewielu lat poprzednik Maharadża. Głaz i marmur biały wyrobione tu z całą wspaniałością przepychu, a w głębi—w miejscu najświętszym—usadowiona krowa z czarnego marmuru, jeden z symbolów, najbardziej czczonych w braminizmie. Zaledwie kończą ten grobowiec królewski, i ptaki już najście tu zrobiły. Sowy, synogarlice, papugi gniezdzą się całemi rodami w tej piramidzie; to też schody tu całe usłane piórkami szaremi i zielonemi. Piramida jest bardzo wysoka i z wierzchołka jej, pod kołowaniem kruków i orłów, ukazuje się całe miasto, z domami koronkowemi, z pałacami, z mrącemi ogrodami, z wielkimi cिसami z kamienia i z hardemi świątyniami.

Okolica, jak wszędy tu w Indjach, usłana zwaliskami; stary Gwalior, stare dzielnice, stare pałace, porzucone z biegiem wieków, na pastwę wo-

jen lub fantazji. Cała strona horyzontu zajęta przez jedną z tych warowni Tytanów, jakie budowano tu wszędy w tym kraju, za czasów heroicznych, gdy szlachetne ludy hinduskie, nie zadomowione jeszcze przez obce napływy; żyły życiem wolnym, wspaniałym, wojowniczym: cała mila muru, wieżyc i starego dzikiego zamku wieńczy tam w górze skały urwiste, więcej niż sto metrów wysokie. Wreszcie dale ostatnie zarysowują się odcieniami popiołu i liścia rdzawego; martwe te lasy, dżungla martwa, widziane w stoku zatartym ostatnich planów, rzucają grozę mierzającą na miasto jeszcze wesołe, na miasto bez troski; zwiastują, że głód już się zbliża.

Ostatniego wieczoru, na słoniu królewskim, w towarzystwie uprzejmego dworzanina królewskiego, odbywam przejażdżkę pożegnalną po mieście z głazu dzierzganego, w porze mniej gorącej, gdy damy w muślinach srebrzonych, chłodzą się na balkonach kunsztownych.

Poznawano mego towarzysza i ubrania dwójga gońców, którzy nas poprzedzali; kłaniano się tedy obficie.

Wzdłuż wąskiej uliczki, grzbiet zwierza olbrzymiego—był to słoń, samica w siedmdziesiątym piątym roku życia—podnosił nas do wysokości pierwszego piętra, tak że prawie dotykał rzeźby delikatnej galeryjek dzierzganych, gdzie marzyły piękne damy; wszystkie też pochyły się, niosąc obie ręce do czoła.

Na placu, na wysokość człowieka rozpostartymaty, odgradzające część przestrzeni; przejeżdżamy jednak tak wysoko, że widzimy z ponad tego wiotkiego ogrodzenia. Odbywa się tam wesołe, zarządzane na ulicy przed domem małżonków, który się okazał zbyt ciasnym; wiele bardzo strojnych młodych kobiet, w zasłonach, naszywanych złotemi blaszkami, siedziało tam w kole, słuchając muzyki i śpiewu.

Na rynku targowym ileż pokłonów! Drobnicy przekupnie i żebracy pochyłali się w pokłonie głębokim. Piękni rycerze poprzstawiali na ruchu głowy; każdy z nich powstrzymywał swego konia, zawsze przez słonie ploszonego; rzucił się też i stawał dęba, wyracając kosze z różami. Nawet gromadki dzieciaków, nawet cudowne dziewczątka pięcio czy sześcioletnie, z oczyma zanadto umalowanemi, przystawały, niosąc poważnie ręce do czoła, a komiczny ten ukłon uprzejmy dochodził do nas całkiem z dołu, prawie z pod naszego zwierzęcia ogromnego. Stawał on też nogi jedna za drugą z ostrożnością macierzyńską, by krzywdy im nie zrobić.

Pomnę, jak skręcając z uliczki zaledwie tyle, ile potrzeba, szerokiej, na której boki nasze ocierały się o mur, nagle—wstrząśnienie, raptowne powstrzymanie: głowa drugiego słonia,

jeszcze większego olbrzyma, samca z kłami potężnymi, dążącego w przeciwnym kierunku, wyrosła tuż przed nami, oczy, w oczy.. Chwilka namysłu, niezdecydowania... Istotnie, rzekłbyś, że dwa kolosy porozumiewały się z dworskością, — zresztą spółbiesiadnicy tej samej stajni królewskiej, którzy musieli się znać. Wreszcie tamten zrobił trzydzieści kroków w tył, wszedł tyłem na podwórko — i oto przejechaliśmy obok, muska ni jego trąbę.

XII.

Góra królów.

Blizka już pora południowa, smętna i oślepiająca, wśród zniszczenia okolicznego Indji. Słoń mój stąpa łagodnie: poręczą, kutą w skale wymiarami nadludzkimi, wspina się bokiem góry, usłanej zwaliskami, który jest jakby ogromnym cmentarzyskiem bogów, świątyń i pałaców.

Wspina się zygakiem po drodze, by łagodniejszym uczynić wznoszenie się; kolebiący się ogrom kołyszę mnie falistością łagodną, a każde jego stąpienie daje odczucie ciężkości kolosu, przez stłoczenie pyłu, który się tworzy pod jego stopami szerokimi. Kroki jego atoli pilśniowe, ledwie dosłyszalne — i w ciszy zupełnej okolicy nic nie słychać prócz dźwięku poważnego dwu

srebrnych dzwonek, zawieszonych u jego boków, dzwoniących dzwonieniem smętnym, w odstępach minorowych. Zrzadka wielki poszum w powietrzu nieruchomym, gorącym: to jastrząb, to orzeł przeciąga.

Zboczami skał prostopadłych pnie się droga nasza, jak struna. Od strony próżni — mur gruby i niski, z zębami warowni, odcina się na dali szarawej, pyłem i olśnieniami słońca malowanej.

Od strony góry rzeczy cyklopiczne panują nad tobą wszechwładnie; granit szpiczasty, sto metrów wysoki, uwieńczony zamkami, wieżycami, jakich ludzie dzisiaj nie śmieliby i nie mogliby dźwignąć; wznioślejszy głowę, widzisz na nieskończonej długości bajeczne te zamki starodawne, stylu niewiadomego, które od wieków trzymają się nad samym skrajem przepaści, hardo, bez zawrotu, ze swymi zwisłemi, lecącemi w otchłań, strażnicami, ze swemi krużgankami. W górze tej naturalnej warowni, którą jest sama przez się ta góra, całe dynastje królów, o których istnieniu dziś nawet nie śnimy, zgromadzały złomy na złomy, tysiącami lat, by urządzić tam sobie schron niedocieczony. Zaprawdę zamki i grody silne naszych drobnych szlachetek Zachodu budzą uśmiech, wobec tych zwalisk tłoczących, któremi Indje wszędy przeciążone.

(C. d. n.)



Łęczycza.

Praca zalecona do druku na 2-im konkursie geograficznym tygodnika „Naokoło świata“.

(Dokończenie.)

Ostatnie te nawałnice wojenne doprowadziły miasto do wielkiej nędzy i zniszczenia: ludność zubożała i zmniejszyła się, ulice i place porosły trawą i zielskiem. Dopiero w r. 1825 rząd Królestwa Polskiego zajął się gorliwie podźwignięciem i polepszeniem dobrobytu miasta, lecz następnie znowu przerwał się jego rozwój, który dopiero w kilkadziesiąt lat potem mógł znowu postąpić z wykłym trybem.

Samo miasto przedstawia się dość schludnie i zamożnie, szczególnie w środkowej swej części; ulice chociaż wąskie, lecz czyste i po większej części zabrukowane, niektóre z nich wysadzone

akacjami i kasztanami, co przyczynia się do ich upiększenia. Domy są tu przeważnie drewniane, z wysokimi dachami, pokrytymi czerwoną blachą, skąd znane przysłowie w tych stronach: „czerwone jak Łęczycza”. W śródmieściu przeważają jedno i dwu piętrowe kamienice, także z charakterystycznymi czerwonymi dachami. Kolor ten, na tle bujnej zieleni ogrodów, tworzy wspaniałą kontrast, szczególnie uwydatniający się w czasie dni słonecznych.

Prócz tego w środkowej części miasta znajdują się piękne, cieniste aleje z wygodnymi ławkami do siedzenia, miejsce wieczornych space-

rów łączycan, tudzież ważniejsze instytucje i gmachy publiczne.

W mieście mamy powiatowe zarządy: hotel Polski, 4 restauracje, cukiernię, tanią herbaciarnię, 2 apteki, 4 księgarnie, litografię, czytelnię prywatną, budynek teatru, kasę pożyczkowo oszczędnościową, towarzystwo wzajemnego kredytu, ochotniczą straż ogniową, orkiestrę strażacką, stację pocztowo-telegraficzną, biuro powiatowe, sąd gminny i zarząd akcyzy. Prócz tego są tu jeszcze: młyn parowy, skład drzewa, fabryka narzędzi rolniczych, fabryka octu, browar, szpital, schronienie dla starców i kalek, więzienie, koszary wojskowe i halle targowe. Ze świątyń miasto posiada: 2 kościoły katolickie, Farę (parafjalny) i Bernardynów; kościół ewangelicki i kaplicę prawosławną; gmina



Archikolegiata tumska.

żydowska posiada bóżnicę i domy modlitwy. Ze szkół znajdują się tutaj: seminarjum nauczycielskie, 2 elementarne rządowe, 4 klasowa szkoła miejska i pensja żeńska.

Za miastem znajduje się młyn wodny, przeszło 10 wiatraków, rzeźnia nad Bzurą i cegielnia.

Oświetlenie miasta, nie wystarczające na potrzeby, jest naftowe i o innym jakoś dotychczas nie słyhać.

Zabytków historycznych pozostało tu dość dużo, lecz z biegiem czasu i zmian, dawny ich wygląd zatarł się po większej części.

Tak się stało ze szpitalem św. Ducha, który kilkadziesiąt lat temu został zamieniony na schronienie dla starców i kalek, a kościół przy nim, jako chylący się do upadku, rozebrany w r. 1825.

Podobnemu losowi uległ klasztor P.P. Norbetanek, który, kilkadziesiąt lat temu odrestaurowany, w zupełności zatracił swój pierwotny charakter i przedstawia się teraz w postaci ciężkiej, niezgrabnej, kamienicy piętrowej, mieszkalnej.

Dotychczas na murze t. j. budowli, od strony dawnego dziedzińca klasztorowego widnieje zarty napis:

„Gmach ten wystawiony jako kościół i klasztor P.P. Norbetanek przez Mikołaja Szczawińskiego, kasztelana łączyckiego, za panowania Zygmunta III. Odrestaurowany przez właścicielkę, Władysławę z Zakrzewskich Skarżyńską w r. 1877.”

Wewnątrz, w dolnej kondygnacji budynku, dotychczas podziwiać można potężne sklepienia i mury, do sześciu stóp grubości mające, które zapewne jeszcze niejednemu stuleciu oprzeć się mogą. Przy klaszorze niegdyś istniał kościół, po którym nawet śladu nie pozostało.

Gmach ten stanowił jeden z narożników murów miejskich, które niegdyś opasywały wokół miasto. Potężne te fortyfikacje, wzniesione przez Kazimierza Wielkiego, przez liczne burze wojenne zostały zniszczone do tego stopnia, iż resztki, chylące się do upadku, dla bezpieczeństwa publicznego, wraz z basztami, zniesiono w r. 1787. Jedynym śladem po tych murach są ocalałe ich szczątki, przylegające do bóżnicy żydowskiej.

Losowi powyższych budowli uległ i klasztor, wraz z niewykończonym kościołem Jezuitów, w którym, po zniesieniu tego zakonu w Polsce w r. 1773, znajdowała się szkoła wydziałowa. Prusacy, zajmwszy miasto w r. 1797, niewykończony kościół i gmachy klasztorne zamienili na więzienie i koszary.

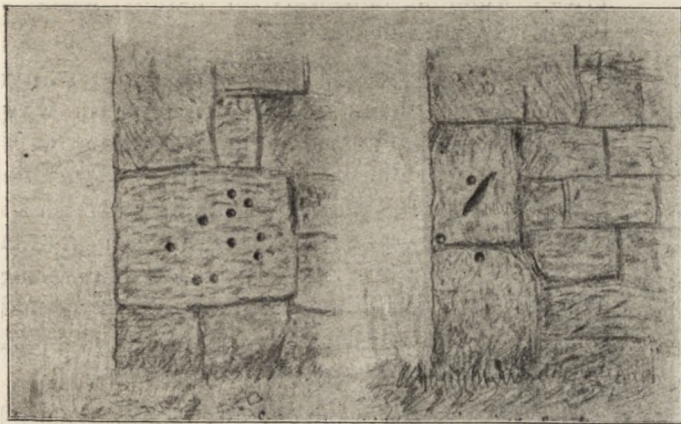
Część licznego księgozbioru jezuickiego znajduje się teraz w zbiorach tutejszego seminarjum nauczycielskiego.

Naprzeciw byłego klasztoru, pośrodku rynku, mieści się ratusz. Charakterystyczny ten budynek wzniesiony jest w formie wydłużonego czworoboku, o piętrze, z niziutką, bez zakończenia, wieżą u szczytu dachu, z której niegdyś trębacz dawał znać o pożarze w mieście. Zbudowany był w r. 1787 na miejscu starego, wzniesionego przez Wł. Jagiellę. Od tych czasów przetrwał do obecnej chwili, w zewnętrznej swej strukturze bez zmiany, jedynie plac rynkowy, przy odbudowywaniu się miasta po ostatnich pożarach, zmienił położenie, i ratusz, dawniej zajmujący sam środek jego, stoi obecnie więcej na boku.

Jako budynek, przeznaczony jedynie do użytku miasta, mieścił w sobie: archiwum przywilejów, wyroki i różne dokumenty, dotyczące miasta, tudzież pieczęć z herbem, wyobrażającym trzy wieże: ze szczytu środkowej mężczyzna w rogatej czapce dmie w trąbę wielkich rozmiarów.

Następnie mieściło się także więzienie, stąd też wydawano wyroki śmierci, które były wykonywane w pobliskiej wsi, noszącej od tego nazwę Katowej Topoli, (obecnie Kantowej). Teraz znajduje się tu biuro magistratu i kasa miejska.

Jeszcze godniejszą uwagi budowlą jest sta-



Legiendowe odciski pazurów Boruty na murze kościoła tumskiego.

rożytny kościół parafijalny „Fara” – obok klasztoru Jezuitów. O fundatorze i dacie budowy tego kościoła nic pewnego nie wiadomo. Istnieje przypuszczenie, że świątynię tę wzniósł Władysław Herman w XI wieku, pod wezwaniem św. Idzie-



Ratusz miejski.

go, spełniając pobożne przyrzeczenie po przyjściu na świat Bolesława Krzywoustego. Podczas smutnych przewrotów, jakim niejednokrotnie ulegało miasto, świątynia upadła i podczas drugiego poświęcenia w r. 1425 nadano jej tytuł św. Andrzeja, który do dzisiaj pozostał.

Wobec tego jest to pierwszy kościół po archikolegjacie tumskiej, który stanął w nowej Łę-

czyca, wkrótce po wprowadzeniu chrześcijaństwa do kraju.

Liczne nadania i hojne dary arcybiskupów gnieźnieńskich, którzy tak często w sąsiedniej archikolegjacie przebywali, bogaciły świątynię. Szczególniej prymas Teodor Potocki, upodobawszy sobie Łęczycę, hojnie łożył na ozdobę kościoła, przy którym osadził Jezuitów. Od roku 1788 sejmy szlacheckie, przeniesione z kościoła Bernardynów, także dużo korzyści przynosiły kościołowi, dzięki licznie składanym ofiarom.

Zdawałoby się, iż budowla tak stara musi posiadać liczne zabytki historyczne; niestety, z pierwszych lat jej istnienia nic nie pozostało, wskutek częstych klęsk, nie pozwalających na gromadzenie zabytków. Zaledwie kilka, z dwóch ostatnich stuleci, zachowało się w całości.

Wewnątrz kościół posiada trzy nawy, rozdzielone potężnymi filarami i trzy kaplice.

Jedna z kaplic, na końcu lewej nawy, pod wezwaniem Serca Jezusowego, posiada w ołtarzu piękny obraz olejny, wyobrażający widzenie bł. Małgorzaty, dzieło Wojciecha Gersona.

Na końcu prawej nawy, symetrycznie z powyższą, znajduje się najokazalsza ze wszystkich trzech, kaplica rodziny Szczawińskich, ufundowana w wieku XVII przez Jakóba Szczawińskiego, wojewodę brzeskiego, starostę łęczyckiego.

Najcenniejszym i najstarszym ze wszystkich zabytków, jakie pozostały w starych budynkach miasta, jest niezaprzeczenie słynny relikwiarz łęczycki, znajdujący się w skarbcu kościelnym, ciekawy okaz sztuki złotniczej z X—XI wieku.

Zewnętrzny wygląd świątyni, przez liczne przerabiania, zatracił swój pierwotny styl ostrołukowy, który tylko w ogólnym planie się zachował.

Na ocienionym drzewami cmentarzu kościelnym aż do połowy osiemnastego wieku grzebano umarłych, dopiero Prusacy w r. 1803 znieśli ten zwyczaj. Obecnie cmentarz grzebalny znajduje się przy drodze, prowadzącej do Kalisza, w miejscu, najwięcej wzniesionym ponad otaczające mokre łąki.

Inną znowu pamiątką minionych czasów, jest klasztor i kościół pobernadyński.

Kościół, ufundowany w połowie XVII wieku przez Dorotę z Otolina Piwo, przechodził różne koleje. Przez skrzętność i dobrą gospodarkę Bernardynów, tudzież dzięki licznyim ofiarom, po trzydziestu kilku latach stanęły zabudowania

klasztorne, a świątynia posiadała drogocenne ozdoby, kielichy, monstrancje, kapy i in. Ale podczas najazdu Szwedów pod Karolem Gustawem, wszystkie te bogactwa zostały zrabowane, a kościół wraz z klasztorem zrujnowany.

Kościół wraz z zabudowaniami klasztornymi jest opasany murem ceglany, który okala też ogród owocowy, należący do klasztoru.

Przy wejściu na cmentarz, zwraca uwagę piękna figura N. M. Panny, wykuta z piaskowca. O kilka kroków dalej wznosi się wspaniała świątynia, ocieniona konarami lip, kasztanów i wiązów. Zbudowana w stylu włoskim, posiada piękny front, zdobny w esowniki i pilastry, z obrazem Ś-tej Rodziny.

Wnętrze świątyni posiada tylko jedną, doskonale oświetloną, nawę. Ściany i sufit ozdobione są ładnymi freskami i malowidłami, przedstawiającymi sceny z żywotów Świętych i naśladowaniem gzemsy, pilastry, kapitele i zasłony. Wspaniałe, złożone ołtarze i kazalnica, bogate w misterne rzeźby, nadają świątyni wygląd okazały.

Z zabytków pamiątkowych znajduje się tu kilka starych portretów, z których dwa, nieopodal wejścia, szczególną zwracają uwagę. Portret po lewej stronie przedstawia mężczyznę w stroju dworskim; jest nim Karol Lesiewski, szambelan króla Stanisława, rotmistrz wojsk polskich; po prawej zwanego wojownika, Byszewskiego herbu Jastrzębiec, który nieraz Prusakom zalał sadła za skórę.

Znajduje się tu jeszcze kilka grobowców z XVII i XVIII wieku, z których na szczególniejszą uwagę zasługuje wojewody Dziezbickiego, ozdobiony portretem pędzla nadwornego malarza Stanisława Augusta, Bacciarellego.

Ostatnim i najciekawszym przedmiotem w kościele, który był swego czasu powodem licznych zająć pomiędzy chrześcijanami a żydami, jest trumienka za szkłem, z ciałkiem dziecka, rzekomo zamordowanego przez żydów.

Ciekawym i cennym zabytkiem łęczyckim są niezawodnie poszczerbione ruiny zamku Kazimierzowskiego. Było to niegdyś potężne grodzisko dwupietrowej wysokości, z wysoką, obronną wieżą narożną, opatrzone licznymi strzelnicami i blankami. Mury wokół opasane były głęboką fosą, napelnianą wodą z sąsiedniej Bzury, której bagniste brzegi bardzo utrudniały przystęp do zamku. Przez fosę rzucony był drewniany most zwodzony na łańcuchach.

Wewnątrz, prócz rezydencji królów, mieścili się składy broni, mieszkania służby i załogi, a pod powierzchnią ziemi, na dwa piętra w głąb, ciemne lochy więzienne, w których niejednego przestępcę pokutował za winy swoje.

Zamek w swych murach niejednokrotnie przyjmował wysokich gości. Bawił tutaj swego czasu Kazimierz Wielki—fundator, Ludwik król węgierski, Władysław Jagiełło, Zygmunt I, Kazimierz Jagiełłończyk, Jan Olbracht i różni dygnitarze i senatorowie Rzeczypospolitej. Zbierały się tu wojska koronne i pospolite ruszenia na wyprawy wojenne, odbywały się narady, wiece, zabawy i świetne uczty.

Niezawsze jednak przyjmowano tu samych miłych gości, nieraz śmiercionośne pociski wysyłano na przywitanie nadciągających wrogów. Po raz pierwszy zamek oblegany był podczas bezkrólewia w r. 1385, przez stronników księcia Ziemowita. Potym, przeszło przez dwieście lat, pozostawał w spokoju. Dopiero podczas pierwszego najazdu Szwedów znowu ogień i olów posypały się na jego omszałe mury. Zrujnowany, począł chylić się ku upadkowi.

Prusacy, zajmawszy miasto, wzmocnili zamek, lecz Austriacy w r. 1809 powtórnie go zniszczyli i od tego czasu nie podniósł się więcej.

Fosa zarosła trawą i została zasypana w r. 1-30, a w cztery lata później mury zamkowe, grożące upadkiem, dla bezpieczeństwa publicznego prawie na dwie trzecie wysokości obniżono.

Obecnie z potężnej fortecy pozostały ruiny: dwupiętrowa, odrapana kamieniczka, o trzech oknach w rząd, stanowiąc część mieszkalną zamku, która i dzisiaj jeszcze jest zamieszkana, i dwa parterowe budynki kuchni i spiżarni o kilku oknach, o grubych na cztery stopy murach i wysokich dachach, na których dość duże brzozy, różne chwasty i mchy obrały sobie siedlisko. Resztki potężnych murów jeszcze z trzech stron pozostały; popękane, poszarpane i poszczerbione, porośnięte trawą i mchami, coraz bardziej chylą się do ruiny zupełnej. Część ich od strony wschodniej znajduje się w tak opłakanym stanie, że dla ogólnego bezpieczeństwa, musiano je odgrodzić.

Z wieży narożnej, zwanej „szlachecką”, mającej niegdyś 60 łokci wysokości i 40 obwodu, zaledwie pozostała połowa, bardzo poszczerbiona, królując nad zwaliskami. Tutaj właśnie znajdują się najgłębsze lochy, do których jednak z powodu niebezpieczeństwa wchodzić zabroniono.

W podziemiach tych, według legend ludowych, mają znajdować się ukryte skarby, pozostałe po udzielnych niegdyś książątach łęczyckich; skarbów tych strzeże djabeł Boruta. Biada śmiałkowi, który śmie wyciągnąć chciwą rękę po nie: zginęli tu Austriacy w czasie swego pobytu, poduszeni przez gazy, a w r. 1832 dwaj bracia Jasińscy, ogrodnicy miejscowi, któ-

rych ziemia zasypała, gdy poszli na poszukiwanie skarbów.

Według podań ludowych, z lochów tych ma prowadzić podziemne przejście aż do Tumu. Zapewne jednak jest to tylko legienda, ponieważ nieprawdopodobnym jest, aby przez bagna, leżące między temi budowłami, można było w ówczesnych czasach zbudować taki kurytarz na przestrzeni kilku wiorst.

Ruiny zamkowe szpeci bardzo wieża ćwiczeń strażackich, którą w samym środku murów postawiono; trudno zrozumieć, dlaczego nie wybrano na to miejsca gdzieindziej, przecież miasto ma wiele innych, odpowiedniejszych placów, które stoją bez użytku.

Zdaje się, że resztki cennej tej pamiątki, nie szanowane, niezadługo zupełnie w gruzy się rozsypią...

W pobliżu zamku znajduje się dawny kościół i klasztor Dominikanów, obecnie zamieniony na więzienie.

Kościół ten, wraz z klasztorem, również jak i zamek, zawdzięcza swe powstanie Kazimierzowi Wielkiemu, który wznosił go dla sprowadzonego tutaj zakonu. Budynki te stanowiły niegdyś jeden z narożników fortyfikacji miejskich, to też mury ich są prawdziwie warowne. Przez zniesienie wież, liczne przeróbki i zamurowanie okien dla obecnego użytku, kościół zatracił swój właściwy styl ostrołukowy.

Gdyśmy zwiedzili i obejrzelili wszystkie powyżej wymienione pamiątki, nie mamy już nic więcej do czynienia w mieście. Udajemy się więc do pierwotnej siedziby Łęczycan, wielkiej, bo blisko na przestrzeni 4 wiorst rozrzuconej wioski Tum, leżącej na wschód od miasta.

Po drodze wstąpmy jeszcze do parku miejskiego, oddalonego od miasta korytem Bzury, aby spocząć trochę po długiej wędrówce.

Ogród ten to prawdziwa ozdoba Łęczycy: obszerny, czysty, pełen starych dębów, kasztanów, grabów, topoli, klonów, lip, różnych krzewów i roślin.

Urządzono go na bagnach i osuszono przez skanalizowanie. Cały park z trzech stron otoczony rowem, napelnionym wodą, a z czwartej Bzurą, wokół wałem ziemnym. Zbyt wilgotno też tu na dłuższy pobyt.

Odpocząwszy trochę wśród cienistych drzew, udajmy się w dalszą drogę. Przeszedzszy wilgotną łąkę, znajdziemy się niebawem pod granitowymi murami prastarej archikolegiaty, której wieże, wysokie na 82 łokcie, zdaleka już widać.

Odrzucając w oczy zamkowy charakter świątyni i trwałość murów kamiennych, na których czas nie pozostawił żadnego śladu; mury te zaopatrzone są w wąskie strzelnice, bo też w dzie-

jach kościoła nieraz zachodziła potrzeba odpierania napadów hord Tatarów i Litwinów.

Świątynia nosi cechy bazyliki romańskiej, szczególnie uwydatniające się wewnątrz, w sklepionych konchowo absydach, oraz bocznych nawach.

Wejście do wnętrza prowadzi z boku przez kruchtę, zakrywającą rzeźbiony portal, cenny zabytek sztuki z wieku XI. Wnętrze, rozdzielone na trzy nawy, przedstawia się dość ubogo, brak ozdób ornamentacyjnych, oraz ubóstwo ołtarzy sprawiają wielki zawód zwiedzającemu, który w tak prastarej budowli spodziewał się znaleźć wiele bogactwa i piękna. Niegdyś świątynia rzeczywiście posiadała wspaniałe ozdoby, które jednak uległy zniszczeniu podczas pożaru w r. 1473, kiedy ofiarą, prócz rezydencji arcybiskupiej, padła i stara archikolegiata.

Zabytków pamiątkowych też tu niewiele: do najstarszych zalicza się napis gotycki „Jezus Christus Maria” z r. 1487, znajdujący się nad wejściem do zakrystji. Drugą — są resztki stall z piękną ornamentacją na oparciu, z końca XV wieku. Szczególną uwagę zwraca kamienna chrzcielnica, wykuta w kształcie kielicha, z herbami: Ogończyk, Leliwa, Rola i Jastrzębiec, oraz miedziana pokrywa, kształtu stożkowatego, z licznymi rzeźbami i napisem u dołu. Prócz tego znajduje się tu jeszcze kilka grobowców i tablic pamiątkowych, poświęconych pamięci dobrodziejów świątyni.

Ostatnim przedmiotem, który zwraca na siebie naszą uwagę, są charakterystyczne, okrągłe odciski, znajdujące się na zewnątrz na węglach wież kościelnych.

Podanie miejscowe wiąże ich powstanie z legiendową postacią diabła Boruty, który, niezadowolony z sąsiedztwa świątyni, chciał ją zburzyć, lecz trwałość murów oparła się jego pazurom, i odciski ich pozostały w kamieniu.

O kilkaset kroków dalej, na zachód od kościoła, znajduje się najstarsza pamiątka Łęczycy. Są to ostatki przedhistorycznej kontyny pogańskiej Łęczan, przedstawiające się w postaci wysokiego, kolistego wału z wklęsłością pośrodku, mającego do 200 metrów obwodu. Lud okoliczny nazywa te nasypy „okopami szwedzkimi”, gdyż rzeczywiście w czasie zdobywania miasta, podczas pierwszego najazdu Szwedów, ustawiono tu baterje, które morderczym ogniem zionęły na miasto.

Trzy lata temu, po lewej stronie drogi, wiodącej do Piątku, uczniowie szkoły miejskiej, podczas przechadzki, odkryli przypadkiem nowe cmentarzysko przedhistoryczne z urnami, które znajdowały się bardzo płytko pod powierzchnią ziemi i były obstawione wokół kamieniami. Chciano je zabrać w całości, lecz okazało się to nie-

możliwym, ponieważ za dotknięciem rozsypywały się w kawałki; zaledwie kilka większych kawałków udało się przenieść do zbiorów 4 klasowej szkoły miejskiej.

* * *

Mieszkańcy Łęczycy przeważnie zajmują się ogrodnictwem, rękodzielnictwem i rolnictwem. Handel kolonjalny i galanteryjny, prawie cały, jak wszędzie, tak i tu, dzierżą w rękę Żydzi. W mieście znajduje się zaledwie kilkanaście sklepów chrześcijańskich, kilka masarni i jedna księgarnia, z czterech istniejących. Za to handel warzywny cały spoczywa w rękach chrześcijan-ogrodników, którzy, dzięki podatności gruntu, zakładają coraz więcej ogrodów warzywnych i owo-

cowych; jest ich tu obecnie już około dwudziestu. Produkty swoje wywożą oni przeważnie do Łodzi, gdzie je zbywają korzystnie.

Wyroby rękodzielnicze znajdują odbyty podczas miejscowych targów i jarmarków u włościan, tłumnie zjeżdżających się z okolicznych wsi, tudzież na jarmarkach w okolicznych osadach i miasteczek.

Życie łęczycan płynie spokojnie i cicho. Od czasu do czasu miejscowy teatr amatorski wystawi jakąś sztukę na cel dobroczynny, lub jaka trupa wędrowna, zabłądziwszy w przejeździe na pewien czas, wyrwie mieszczan z apatji.

Czasy największej świetności miasta minęły już bezpowrotnie.

E. Piotrowski.



Kilka słów o Saint-Louis. *)

W grudniu r. 1763 dwaj Francuzi, Laclède i Chouteau, założyli nad brzegami rzeki Mississipi stację dla handlu wymiennego z Indianami, wśród olbrzymiej płaszczyny, urodzajniejszej od doliny Nilu, w równej odległości od zatoki meksykańskiej, Wielkich Jezior, granicy kanadyjskiej i Gór Skalistych. Stację tę nazwali Saint-Louis, na cześć króla Ludwika XV.

Kolonja, założona przez dzielnych Francuzów, dzięki inicjatywie osobistej, bez żadnej interwencji ze strony rządu, rozwijała się z istic amerykańskim pośpiechem; dzisiaj Luizjana, stanowiąca zaledwie część doliny Mississipi, pokrywa przestrzeń, równającą się zachodniej połowie Europy, uważając za środek linję, przeprowadzoną od ujścia Wisły aż do Brindisi. Saint-Louis zaćmie może wkrótce Nowy Jork, Chicago i Londyn, a sama wartość zboża, zbieranego w Luizjanie, przewyższa wartość ogólną wszystkich przedmiotów wywozu i przywozu w całej Francji.

Szybki ten rozwój zawdzięcza Luizjana handlowi: Laclède zawiązał stosunki z Czerwonoskórkami, a lubiony i szanowany przez Indian, otrzymywał od nich wspaniałe futra

w zamian za tkaniny bawełniane, sprzęty domowe, tytoń i różne błyskotki.

W roku 1839, wkrótce po zgonie Chouteau'a, Saint-Louis liczyło 16 000 mieszkańców; obecnie liczba ich sięga 600.000. Sądząc z nazwy ulic, wydawałoby się ono miastem czysto francuskim, tymczasem pierwiastek francuski nieknie pod zalewem emigracji germańskiej i anglo-saskiej; samych Niemców jest tam podobno przeszło 200000; Czerwonoskórzy znikli zupełnie.

Bezpieczeństwo publiczne w Saint-Louis pozostawia bardzo wiele do życzenia: rabunki, napady, morderstwa, kradzieże, są na porządku dziennym; policja, płatna doskonale, zajmuje się głównie polityką i przeprowadzeniem na wyborach kandydatów, którym zawdzięcza swoje stanowisko.

Pewnym zabezpieczeniem dla mieszkańców są bardzo rozgałęzione i tanie środki lokomocji, szczególnie tramwaje elektryczne, ciągnące się na 704 kilometrach, przewożące od 5 rana do północy, przeszło 146 milionów pasażerów rocznie w przecięciu. Dwadzieścia cztery linje kolejowe łączą miasto z okolicą, a centralny dworzec „Union” jest arcydziełem wygody i dobrego smaku.

Wprost dworca ciągnie się szeroko ulica Market Street, na której co kilkanaście kroków

*) Podług artykułu Laborera w „Journal des Economistes”

spotykamy typowe *bary* z napisem: „śniadanie darmo”. Istotnie, każdy, wchodzący do takiego zakładu, dostaje darmo dwie kromeczki chleba z kawałkiem gorącego mięsa w środku, lecz popija piwem, za którego mikroskopijną ilość płaci 5 soldów. Z apetytem, podnieconym taką przekąską, przechodzień zwraca się czymprędzej do jednej z licznych obok restauracji, gdzie za 10, 15, lub 20 soldów dostaje obfite śniadanie, złożone z kawałka smażonego mięsa z jarzyną, kompotu, kawy ze śmietanką lub herbaty i pieczywa.

Innego rodzaju sklepem jest tak zwany *drugstore*, niespotykany w Europie. Zaopatrzony bezwzględnie we wszystko, dostarcza przedmiotów toaletowych, korzeni, lekarstw, artykułów spożywczych, napojów zimnych i gorących, a nadto oddaje na usługi klientów urząd pocztowy i stację telefoniczną.

Dotkliwym brakiem w St. Louis jest brak dobrej wody. Czystej, możliwej do użycia, niema zupełnie; należy ją gotować, a potem filtrować, ażeby była nieszkodliwą.

Najpiękniejsze i najbogatsze magazyny w Saint-Louis znajdują się na ulicy *Broadway*, mającej 24 kilom. długości; szczególnym zbytkiem i przepychem odznaczają się składy futer, gdzie futro z białych lisów kosztuje do 10 000 franków, z tygrysów bengalskich 7.500, z niedźwiedzi 2.500. Magazyny te rozporządzają 500.000 myśliwych, rozproszonych po różnych częściach świata, a właściciele niektórych, sami na czele swoich ludzi, udają się na łowy, jak niegdyś czynili Laclède i Chouteau.

Obok niesłychanego rozwoju handlu i przemysłu, w Saint-Louis równomiernie postępuje rozwój budowlany. Architektura nowych gmachów posiada piętno czysto amerykańskie, z przeblaskiem gdzieś stylu gotyckiego, renesansowego, arabskiego i t. d. Charakterystyczną jej cechą stanowi ogrom, pełnia powietrza, a przede wszystkim obfitość zieleni. Wszystkie domy tamtejsze, począwszy od pałaców magnatów aż do robotniczych domków, leżą wśród ogrodów. Wracając do przemysłu, żadne miasto w świecie nie dostarcza tak dużo tytoniu jak Saint-Louis: 36.000 tonn rocznie. Produkcja piwa wynosiła w r. 1903 około 3 milionów hektolitrow w cenie 27 franków za hektolit. Jedna z dwunastu fabryk obuwia sprzedała w tymże samym roku towaru za 40 milionów franków. W produkcji towarów wełnianych Saint-Louis zajmuje drugie miejsce w Związku Stanów Zjednoczonych. Fabryk mebli jest 50, dających zatrudnienie 7.000 osób, płatnych przeciętnie po 3.700 franków rocznie; meble są bardzo wykwintne

i tańsze od mebli, sprzedawnych w Paryżu. Są trzy wielkie fabryki wagonów kolejowych; w r. 1903 dostarczono 70.000 wagonów po 4.000 franków jeden. Niezaprzeczenie ważnym niezmiernie czynnikiem w tym wielkim rozwoju przemysłowym jest obfitość i taniość węgla kamiennego, płaconego 5 franków za tonnę na miejscu zbytu.

W życiu społecznym w Saint-Louis kobiety zajmują ważne niezmiernie stanowisko; niema prawie urzędów i działów pracy, gdzieby równouprawnienie ich z mężczyznami nie było widocznym. Wogóle niema chyba rodzaju zajęcia, któreby się wydawało nieodpowiednim dla mieszkańca tego miasta. Za przykład charakterystyczny może służyć, że w styczniu r. b. pewien młodzieniec z bogatej rodziny, z uniwersyteckim wykształceniem, nie mając w danej chwili odpowiedniej posady, nie wstydził się zostać tragarzem, dźwigającym na plecach pakunki wystawców. Początkowo zarabiał 45 dolarów miesięcznie; awansując stopniowo, został inspektorem tragarzy z pensją 75 dolarów na miesiąc. W przekonaniu Amerykanina lenistwo tylko — a nie rodzaj pracy — może być upokarzającym.

Jedną z najciekawszych osobliwości obecnej wystawy w Saint-Louis, jest *mapa rolnictwa Stanów Zjednoczonych*. Olbrzymia ta mapa, ułożona na pochyłości wzgórza, na przestrzeni 8.455 metrów kwadratowych, daje jasne i dokładne pojęcie o produkcji rolnej amerykańskiej; przedstawia pojedyncze Stany z ich właściwymi produktami rolnymi, które wzrastają, są uprawiane, pielęgnowane i zbierane w oczach widzów. Mapę tę zawdzięcza wystawa — ministerjum rolnictwa.

Ministerjum finansów przedstawiło oryginał kontraktu sprzedaży Luizjany Stanom Zjednoczonym przez Napoleona I za cenę 75 milionów franków. Ministerjum spraw wewnętrznych uplastyczyło postępy Czerwonoskórych, odkąd znajdują się pod panowaniem Stanów Zjednoczonych zamknięci w małym terytorjum, którego nie wolno im opuszczać. Administracja rybołówstwa przedstawia różne gatunki ryb, zamieszkujących oceany: Atlantycki i Spokojny. Administracja poczt w tajemnicza zwiędzających we wszystkie sposoby, służące do zaoszczędzenia czasu i liczby pracowników przy rozdzielaniu i rozsyłaniu korespondencji.

Nadzwyczajne zaciekawienie budzi na wystawie wioska z Filippinów, rozłożona na powierzchni 15 hektarów, zbudowana przez mieszkańców Archipelagu, zaludniającej ją w liczbie 1100, i żyjących w niej w taki sam zupełnie sposób, jak na wyspie rodzinnej: wyrabia-

ją koronki, łowią perły, uprawiają glebę, wydobywają minerały itd. Nie brak tam ani świątyni, ani domów prywatnych, ani teatru, fabryk, targowisk — słowem jest wszystko z zachowaniem cech czysto miejscowych.

Ministerjum oświaty w oddzielnym pałacu zaznajamia z metodami, stosowanymi w innych krajach. Tuż obok spotykamy działy geologiczny, mineralogiczny i metalurgiczny. Niezmiernie zajmującą jest sekcja, zapoznająca praktycznie z mechanizmem wydobywania minerałów z ziemi i przerabiania ich na produkty przemysłowe. Widzimy tam wszystko, co człowiek czerpie z wnętrza ziemi, począwszy od gliny aż do przetworów chemicznych i kamieni cennych, maszyny, stosowane w kopalniach, systemy oświetlania i wentylacji galerji podziemnych, mechanizmy, służące do osiągnięcia stali Bessemiera wprost z rudy itd. itd. Różnorodne te kopalnie i warsztaty, oddzielone od siebie, połączone są koleją elektryczną 600 metrów długą.

W pałacu Sztuki Wyzwolonej, obejmującym skarby wiedzy, sztuki i przemysłu, znajduje się czynna gisernia, zakład fotomechaniczny, teleskop, ważący 4 000 funtów, laboratorium średniowiecznego alchemika w starym domku niemieckim, fortepian automatyczny, rękopisy chińskie z przed czterech tysięcy lat i t. d., i t. d.

W Pałacu Rękodziel uzmysłowiony jest praktyczny duch Amerykanów: przedstawiono wszystkie przeobrażenia, jakim podlegają przedmioty, służące do codziennego użytku, oraz artykuły zbytku, zanim dojdą do rąk konsumentów. Można powiedzieć, że jest tam zbiór fabryk wszelakiego rodzaju, w pełnym ruchu.

Tuż obok, publiczność podziwia powstanie, nagromadzenie i transmisję olbrzymiej siły elektrycznej, działającej na wystawie.

Ciekawą bardzo jest Sala Machin, zawierająca ogromną ilość różnego rodzaju i wielkości motorów, począwszy od małego motoru gazowego o sile połowy konia, aż do olbrzymów, odpowiadających sile 12.000 koni.

Jeden z największych gmachów poświęcono środkom lokomocji: mamy tam wszystkie możliwe typy lokomotyw z całego świata, samochody, statki i okręty, począwszy od lekkich spacerowych, szybujących po rzece i jeziorach, aż do największych okazów marynarki wojennej.

W Pałacu Rolnictwa wystawione są wszystkie maszyny i narzędzia, używane w faktoriach, przedstawiane wszystkie kolejne przemiany, jakim podlegają zboża, wszelkie sposoby i środki przerabiania produktów rolniczych. Mleczarnia jest typem wzorowej, idealnej mleczarni. Chów bydła poważne miejsce zajmuje; sama wystawa koni obejmuje 24 działów, krów 25, owiec, trzody i kóz 27.

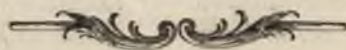
Śliczny pawilon na pochyłości wzgórza, otoczony ogrodem na przestrzeni 30 hektarów, poświęcony jest ogrodnictwu. Tuż obok, w ogromnym parku, obfitującym w różnorodną zwierzynę, wznosi się wdzięczny pawilon myśliwski, sąsiadujący ze stawami, pełnymi ryb rzecznych i morskich.

Wielką osobliwość wystawy stanowią wierne wyobrażenia miejsc świętych: Jerozolimy, ogrodu Getsemani, góry Oliwnej, Kalwarji, Grobu Świętego. Wszystkie budowle są najwierniej skopjowane — sprowadzono autentycznych Arabów, Turków i Żydów; nie zapomniano nawet o wielbłądach i osiołkach wschodnich.

Olbrzymią i prawdziwie wspaniałą jest sala balowa z kopułą, przypominającą kopułę świętej Zofji w Konstantynopolu. Pawilon, w którym znajduje się ta sala, postawiony na wzgórzu, pokrytym przepyszną roślinnością, wodotryskami artystycznymi, obok sali balowej posiada salę, przeznaczoną na uczyty i bankiety, oddzieloną od tamtej portykiem, zdobnym 14 kolosalnymi posągami, wyobrażającymi 14 Stanów, mających posiadłości w Luizjanie. Wpływ środowiska odbija się we wszystkich działach artystów amerykańskich; widoczny jest również w tych statuach. Posiadłości indyjskie np. przedstawia Indjanka czystej krwi, trzymająca w prawej dłoni koleczan ze strzałami, z lewą ręką opartą na charakterystycznej urnie indyjskiej. Inne jakies posiadłości, wyobraża wspaniałej postaci Amerykanka, mogąca być uważana jako nowoczesne pojęcie Wenery z Milo. Wszystkie te posągi stwierdzają, że zarówno rzeźba jak architektura w Ameryce posiadają cechy czysto lokalne; nie spotykamy podobnych ani w starożytności klasycznej, ani w epoce Odrodzenia, ani w nowoczesnej sztuce europejskiej; wszystko tutaj jest bezwzględnie krajowe i miejscowe.

W tym właśnie największa atrakcja niezwykłej i oryginalnej istotnie wystawy w Saint-Louis.

Władysława Zarębina.



Książki i Czasopisma.

Fotograf warszawski Nr. 9. Artykuł T. Jaroszyńskiego „Portret dziecka”, w którym autor występuje przeciwko w zelim przymusowym pozom zalecanym przez pseudostetyków przy portretowaniu dzieci, oraz przez tak zwane „dobre wychowanie”. P. Józef Krajewski opisuje przyrząd do reprodukcji daguerotypów, obrazów olejnych, map, składających się z kilku części, p. St. Szalay poucza o fotografowaniu przy świetle sztucznym. Drobne wiadomości zawierają wskazówki i recepty fotograficzne. Zeszyt zdobi kilka widoków Otwocka i Karczewa, wykonanych przez d-ra L. Andersa.

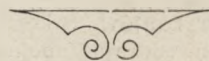
Nadesłano nam wydawnictwo specjalne w języku rosyjskim p. t. „Jeżegodnik po gieologii i mineralogji Rusii” („Rocznik gieologii i mineralogji Rosji”) wydawany w Nowej Aleksadrji (Puławach) pod redakcją profesora łamecznego instytutu Krysztofowicza. Tom VI, zeszyty 7, 8, 9, oraz tom VII zeszyt 1, 2, 3). Cztery ze-

szyty tego wydawnictwa (7, 8, 9, 3) zawierają przegląd bibliograficzny prac z zakresu mineralogji i gieologii Rosji; zeszyt I tomu VII poświęcony jest w połowie, b. dyrektorowi Instytutu nowoaleksandryjskiego Doku-czajewowi, obejmując jego charakterystykę jako gleboznawcy i gieologa, oraz wykaz prac tego profesora. Zeszyt 2 zawiera artykuły w rosyjskim, francuskim i niemieckim językach jak: „Denudacja stepu”, „Życie w kryształach i in.

J. Simmel. *Fitozofja pieniądza*, przełożył z niemieckiego Leo Belmont.

Dodatek do „Prawdy” III ark. 31–36.

Książka, miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografji polskiej, Nr. 9 zawiera: „O przedrukach starych pisarzów” przez Kazimierza Woźnickiego. Obszerny dział krytyki, podzielony na oddziały specjalne, obejmujący przegląd najświeższych nowości wydawniczych, przegląd czasopism i bibliografje.



Zamówienia z prowincji i Cesarstwa po nadesłaniu miary

WYKONYWA

Krawiec T. NIEDŹWIEDZKI

Warszawa, Nowy-Świat 37.

Sposób zdjęc'a miary dla ubiorów męzkich.

SURDUT:

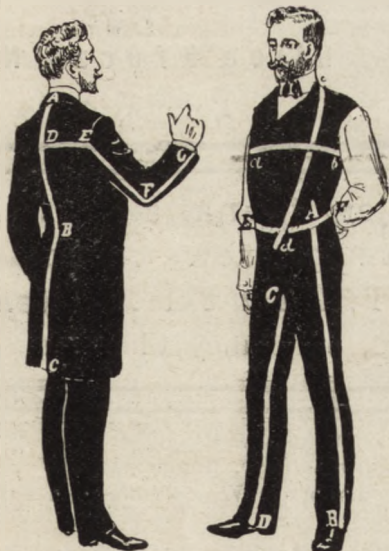
1) Długość stanu (talji) od A do B. 2) Długość od B do C. Miarę surduta lub innego wierzchniego ubrania złączyć od A do C. 3) Połowa szerokości pleców od D do E. 4) Długość rękawa od E, przy podniesieniu zgiętej ręki do łokcia F, od F zaś, nie odejmując miary do końca rękawa G. 5) Całkowita objętość piersi wokoło. wzięta pod pachami na kamizelce, a—b. 6) Całkowita objętość w pasie, wzięta na kamizelce E—F.

KAMIZELKA:

1) Długość od c, z tyłu od środka szyi, do d. 2) Cbjętość piersi (a—b) i pasa (E—F).

SPODNIE:

1) Długość spodni od biodra (A) po niżej pięty, równo z obcasem (B). 2) Długość od szwu międzykrocza (C) po szwie po niżej pięt, równo z obcasem (D). 3) Całkowita objętość pasa pod kamizelką po koszuli (E—F). 10—1



Czytać!!

Ale z uwagą!!!

Na czasie!!

Nabywszy okazjnie wielki zapas ram ozdobnych, dodają do tuzina fotografii gabinetowych jako **premium** portret 60×77 cm. w ramie

tylko za 15 rubli

Fotograf IGNACY KACHEL

ulica Chmielna Nr 33. (trzeci dom od rogu Marszałkowskiej)

Splaszcie się póki starczy zapasu ram!!

Splaszcie się póki starczy zapasu ram!!

6—6

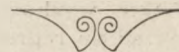
Ruch szkolny.

(Informacje i odpowiedzi czytelnikom).

Powstała z początkiem b. r. szkolnego **Szkoła artystyczna i sztuki stosowanej**, założona przez znanego artystę rzeźbiarza p. Wincentego Trojanowskiego. Szkoła ta ma za zadanie 1) naukę rysowania z natury tak, ażeby każdy tę umiejętność mógł użyć do praktycznego zastosowania w każdej gałęzi sztuki lub rzemiosła 2) naukę malowania z natury, z wykluczeniem wszelkich aktów akademickich; 3) modelowania w różnych praktycznych materiałach; 4) kompozycji stylów; 5) nauki stylów. Ten ostatni punkt należy uważać za szczególnie ważny, dziś bowiem częstokroć pisarze nasi i artyści ujawniają zadziwiająco swą naiwnością omyłki w określaniu stylów sztuki. Ta nieznamość rzeczy odbija się również dotkliwie przy restauracji dzieł sztuki, wykonywanej przez mało wykształconych rzemieślników i fabrykantów. Szkoła p. Trojanowskiego, pierwsza w swoim rodzaju, obejmuje kurs dwuletni; przyjmuje do nauki zarówno mężczyzn, jak kobiety i dzieci, powyżej lat 10. Wykłady odbywają się codziennie od 10 — 1 po południu, oraz wieczorem od

5—7. W niedziele odbywają się kursy dla rzemieślników od 10 rano do 1 po połudn. Nadto urządzony jest specjalny kurs praktycznej nauki stylów, raz na tydzień od 8—9 wieczorem.

Oplata za naukę wynosi 7 rb. 50 kop. do 30 rb. kwartalnie. Rok szkolny liczy się 9 miesięcy. szkoła, mieszcząca się na ul. Kapucyńskiej Nr. 17, wydaje świadectwa z ukończenia kursów. Do szkoły mogą uczęszczać dzieci zajęte w innych szkołach, mające czas wolny tylko w niedzielę.



ZAKŁAD OGRODNICZY

„EMILIA“

MARSZAŁKOWSKA № 68.

Wykonuje najtaniej wieńce, bukiety ślubne, wiązanki, dekoracje i t. d. Największy wybór roślin kwitnących i doniczkowych. 8-1

Mleczarnia Polska

== J. DUTKIEWICZ i S-ka ==
w Warszawie, 12-1

GŁÓWNA:

róg Wilczej i Kruczej Nr. 16.

FILJA:

ulica Krucza Nr. 44.

Telefon 4464.

DLA TEGO NAJTANIEJ! dywany, portjery, firanki, serwety, kapy, kołdry watawne i pluszowe, chodniki, plusze, gobeliny, burety itp. **ŻE NA I-em PIĘTRZE** w składzie **Henryka Radeckiego**. Marszałkowska 112, 1-e piętro, przy ulicy Chmielnej.

Treść № 40. Na Dalekim Wschodzie, przez *Józefa Gieysztorę* (z rysunkami).—Rys historyczny rozwoju sztuki żeglarskiej, napisał *Marjusz Zaruski* (z rysunkiem). — Indje, przez *Piotra Loti'ego*, tłumaczył *Józef Janowski*. — Łęczycza, przez *E. Piotrowskiego* (z rysunkami).—Kilka słów o Saint-Louis, przez *Wł. Zarembinę*.—Książki i Czasopisma.—Ruch szkolny.—Ogłoszenia.

Treść „Biblioteki ilustrowanej podróży i powieści:” Tajemnica burzy morskiej, przez *Sylwana Cobba* (str. 105—120).

Warunki przedpłaty **Tygodnika „Naokoło Świata“**: w Warszawie rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1. Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2.50, kwartalnie rb. 1.25. Za granicą rocznie rb. 6; wraz z „Biblioteką ilustrowaną podróży i powieści“: w Warszawie rocznie r. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50.— Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. 7 kop. 50, półrocznie rb. 3 kop. 75, kwartalnie rb. 1 kop. 88. Za granicą rb. 9.—Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop. 20 —Cena numeru kop. 10.

Agencja w Łodzi:
Księgarnia L. Fiszer, Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.

Agencja w Częstochowie:
Księgarnia J. Nowickiego i S-ki, Aleja II № 43.

Wydawca: **Antoni Orłowski.**

Za redaktora: **Antoni Orłowski.**